

Karolina

– Dzień dobry, jak to tak leci, takie ciepło w maju... kto by pomyślał. Na autobus pani czeka? Tak teraz zrobili, że jak rano przyjechać, to do trzeciej człowiek musi siedzieć, bo ile to można po sklepach chodzić, a gorąc taki, bo rano zimno i trzeba było się ubrać i teraz ze szmatami chodzę jak bezdomna jaka albo inna dziadówka.

Rzeczywiście, od godziny dziewiątej, kiedy mgły powsiąkały w ziemię, robiło się coraz cieplej, a powietrze zaraz przy chodnikach zaczynało falować. Kobieta z dwoma bardzo pojemnymi siatkami i jedną kolorową reklamówką, w której prawie oderwały się ucha, usiadła obok innej pani, która w zasadzie była całkiem do niej podobna. Obok w rzędzie było jeszcze siedem identycznych drewnianych ławek, podobnych do tych, jakie zazwyczaj spotyka się w parkach, a nad nimi zakręcały się latarnie, teraz jednak wygaszone, co kilkanaście minut przez głośniki, które dawniej spełniały jeszcze inną, ideologiczną funkcję, pani lub pan ryczeli, informując o odjazdach autobusów. Ciągłe jakiś odjeżdżał lub przyjeżdżał i tylko cudem wszyscy wiedzieli, kiedy mają podchodzić na stanowiska i do jakich pojazdów wsiadać. Powietrze zawierało o wiele za mało tlenu dla tych wszystkich spoconych dziadków, babć i innych. Każdy coś niósł: nową siekierkę, kosę, kilof, motykę, żyrandole, firanki czy inne cuda dostępne jedynie w mieście. Co jakiś czas rzeczy wyrwały ludzi z hermetycznych światów, w których wszystko, co miało się wydarzyć, już dawno się wydarzyło. Dominował ubiór w brązowych kolorach, szczególnie pośród mężczyzn. Brązowa marynarka, spodnie w innym odcieniu, biała koszula w kremowe paski i jakieś tam buty. W przypadku kobiet kolorystyka była bardziej zróżnicowana, ale to normalne. Przestrzeń pękała od głosów i oddechów, całe metry sześcienne wypełnione po brzegi rozmowami odrywały się od autobusowej stacji i mknęły w stronę centrum miasta. Ludzie w większości byli szczęśliwi.

– A dobry, dobry, tylko nie wiem dla kogo. Dla bogatych chyba, bo dla nas to nie. Pani wie, ile to teraz wszystko kosztuje. A wie pani, co najdrożej? Życie, życie najdrożej. I bilety jeszcze znowu podnieśli, że też im ciągle nie starcza, ciągle coś nowego w górę idzie, ale żeby zdrowie mieć, to dalej jakoś to będzie. Zdrowie najważniejsze, bo jakby pieniądze mieć, a zdrowia nie, to nawet one na nic.

Pozostało czekanie. Były bezpieczne z dala od miasta, bo stacja to poczekalnia – pierwszy przystanek przed domem, gdzie wszystko jest już znane i nie zostaje już nic, czego można by się bać.

– A pani to tym samym autobusem co ja, od razu poznałam. Pani to rodzina od tej od nas, co to trzy lata temu w lecie na woreczek żółciowy ją pogotowie zabrało. Ma pani rację, tylko zdrowie mieć. Moja córka też rok temu bóle miała, jak ją lekarze rozciąli, to pięć kamieni jak orzechy prawie wyjęli. Ma je teraz na pamiątkę. Że to w człowieku

takie kamienie jak na rzece mogą być. Ale znowu ją coś boli – mówi, że tak samo. Piełgniarka mówiła, że w żyłach i tych innych jakichś przewodach jeszcze mogły zostać, ale lekarz mówił, że nie... i komu tu wierzyć?

Nie wiał żaden wiatr i niektórzy o nim marzyli, część mieszkała we wsiach, gdzie wiatr wiał nieustannie i ci najbardziej nie mogli doczekać się powrotu. Im bliżej było południa, wszystko zwalniało i zachodziło mgłą, ludzie wolniej mówili, a każdy ruch wyciskał z nich słony pot, promienie słońca roztopiały zakupy, gazowana oranżada schowana w torbie stawała się obrzydliwie gorąca, a banany i mandarynki kupione dla wnuczków niebezpiecznie rozmiękały.

– A pani to z Kwoczenia – też poznałam od razu prawie. Słyszałam, że u was teraz niedawno dziecko zmarło. Osiemnaście lat miała prawie, ale była jak dziecko... porażenie jakieś chyba miała, prawda to?

– Światłość wiekuista niechaj jej świeci. Osiemnaście lat miała, wiem, bo z roku mojego chłopaka. Całkiem była porażona i niepełnosprawna. Leżała tylko, nawet nie siedziała i duża im urosła. Pamiętam, jak miała jeszcze dwanaście lat, to wozila ją siostra na wózku, a potem to nie, bo się chyba wstydziła, ale nie wiem. Widziałam ją raz, jak z nią do szpitala jechali, bo troszczyli się o nią – po doktorach chodzili. Nawet jeden z Warszawy do niej profesor przyjeżdżał, bardzo miły człowiek – u nas też był: elegancki, stary, z brodą siwą i wypachniony cały. Ale to, pani, jak warzywo, nie człowiek. Dobrze, że zmarła, bo to tylko kłopot z taką. Siedzieć trzeba tylko i nawet się nie uśmiechnie, nie podziękuje, tylko życie psuje. Taka jest prawda. Ile oni pieniędzy na nią wydali, ile zdrowia. W ciąży teraz jest i strach ma, że też może urodzić nienormalne dziecko, bo ta choroba to podobno genetyczna, ale nikt tego nie wie na pewno. I od razu się nie dowie, bo po takim małym, to nawet lekarze nie poznają. Z tą ich Karoliną też dopiero potem było wiadomo, jak inne dzieci już zaczęły chodzić i mówić. Oni chyba też myśleli, że to mogło się stać, jak za długo na słońcu z nią chodziła, bo ta matka strasznie się cieszyła i ciągle z nią chodzili na spacer. Tego akurat nikt nie będzie wiedział. Ja myślę, że jak tak miało być, to i tak to wszystko by się stało. Mogli ją trzymać nawet w cieniu, nic by to nie pomogło. Pan Bóg już wszystko zapisał i od tego, co kto ma tam u Niego zanotowane, nie ma ucieczki ani lekarstw. Ale dobrze, że już zmarła, oni pewno tylko na to czekali, tylko bali się do tego przyznać. Pani wie, że to tylko kłopot, żalność taka, że inni mają normalne córki. Niech pani pomyśli tylko, całe życie w łóżku i nic innego, żadnych radości.

Gorąc opanowywał wszystkie zmysły, wdzierał się do płuc i śmierdział spalinami, śmietnikami i brudem. Grubi kierowcy kręcili się tam i z powrotem z tabliczkami miejscowości pod pachami. Ławkę dalej usiadła zapłakana kobieta. Miała napuchnięte oczy i starała się powstrzymywać spazmy. Immanentna żalność. Nie mogąc uwolnić się płaczem, tłoczyła na siłę łzy, wysychające zaraz od gorąca. Właściwie nie było wiadomo, że płacze, bo od ciepła wszyscy mieli popuchnięte i czerwone twarze. Ścisnęła w ręce chusteczkę i patrzyła naokoło, szukając kogoś do rozmowy. W reklamówce miała tylko kilka zakupów i położony na samym wierzchu telewizyjny program z krzyżówkami.

– Dzień dobry paniom. Gorąc taki w maju, że nie pamięta się, kiedy to ostatni raz. Pani też dzisiaj z targu wraca? To jedziemy tym samym autobusem, już niedługo mają podstawić. Człowiek chciałby już być w domu, a nie płątać się tak, zresztą kilka godzin dzisiaj i tak poszło na marne.

Ta, co siedziała sama, musiała przybliżyć się na skraj ławki, żeby nie krzyżeć, tylko normalnie mówić. Na początku było trudno, ale potem już się wprawila i usta stały się całkowicie posłuszne myślom. Przystała drgać i nawet była szczęśliwa, że przynajmniej te kilka chwil nie będzie musiała myśleć o tym wszystkim sama.

– Dzień dobry pani. Nie z targu – miałam coś do załatwienia. Pani wie o Karolinie – to teraz z tym tyle biegania się zrobiło. Całe życie, co prawda, człowiek biega, ale teraz jakoś tak ciężko.

– To ile lat miała? Osiemnaście, prawda, wiem, bo z roku mojego chłopaka. Taki żal, ale powiem pani prawdę, że tam, gdzie teraz jest, na pewno ma lepiej, tu się tylko męczyła.

– Ja wiem, że tam na pewno ma lepiej, bo tam każdy ma lepiej, ale gdzie jej będzie tak dobrze jak w domu? Zawsze ciepło, bajki jej czytałam, telewizor się do jej pokoju przyniosło, nawet satelitę kupiliśmy, bo tam taki program, że cały dzień albo bajki, albo o zwierzętach, a te nasza Karolina najbardziej lubiła. Wie pani, ona się nawet po swojemu uśmiechała. Jakby ktoś jej nie znał, to nawet by nie wiedział, ale ja często się w nią wpatrywałam i wiedziałam. Ona nawet rozumiała po swojemu, wszystko rozumiała, tylko ruszać się nie mogła, bo paraliż, czasami tylko twarzą... Nam było bardzo dobrze razem, bo ona mnie słuchała i ja wiedziałam, że ona mnie słucha. To w jej oczach... ja wszystko wiedziałam, co ona chce, przez te jej oczy. Smutno teraz i cicho, wie pani, mimo że ona nic nie mówiła, to teraz dopiero wiadomo, że tak naprawdę to było ją słychać. Ona leży w trumnie, ale teraz jej nie ma już całkiem. Ona była inna, ja wiem, ale nam było razem dobrze, mówię pani, choć to trudno tak powiedzieć...

Głos faceta – niezrozumiały jak zawsze – zapowiedział autobus do Kwoczenia. Kilka osób poderwało się ze swoich siedzeń, skupiając się wokół słupka na stanowisku.

– No nareszcie, nasz autobus. Godzinka drogi i będziemy.

Wstały najpierw dwie siedzące razem, uginając się pod ciężarem bagażu, a potem dopiero kobieta siedząca obok nich. Wszystkie siadły na końcu, a ich miejsca na drewnianych ławkach od razu zajął ktoś inny. Autobus po pięciu minutach odjechał spokojnie w stronę Kwoczenia, a od zachodu na czystym do tej pory niebie pojawiły się granatowe chmury. Zbierało się na deszcz.



Stasys Eidrigėvičius, *Plakat Dni muzyki hiszpańskiej w Poznaniu*, 66,5x98cm, 1988